

JAK FENIKS

Benedykt Cader

Ostatnie dni „Festung Posen“

Kiedy już zostały opanowane w wielu punktach stoki wawów Cytadeli, wojska radzieckie w dniu 20 lutego stanęły przed nowymi trudnościami. Teraz dzielił pozycje radzieckie od niemieckich głęboki rów o prostopadłych ścianach. Rów ten uniemożliwiał użycie czołgów i stanowił zasadniczą przeszkodę utrudniającą piechocie wdarć się do wnętrza Cytadeli.

W dniach 20 i 21 lutego 1945 r., celem przyścia z pomocą żołnierzom radzieckim w zlikwidowaniu punktu oporu niemieckiego w mieście, nowo powstałe organa Milicji Obywatelskiej przeprowadziły mobilizację zdolnych do walki mieszkańców Poznania. Energetycznie przeprowadzona mobilizacja pozwoliła na uformowanie spośród mieszkańców miasta oddziałów i grup o łącznej liczbie ok. 2000 ochotników.

Jakże inna od normalnej była ta mobilizacja. Nikt nie stał przed komisją lekarską, nie figurował w wykazach, nie otrzymywał karty mobilizacyjnej. Wystarczyła chęć walki z hitlerowcami, aby stać się przydatnym, polskim żołnierzem. Nie odmawiano możliwości udziału w walce nikomu. Udział w niej mogli wziąć i młodzi, i starzy. Od domu do domu, w dzień i w nocy, patrol milicyjne docierały do mieszkańców, zawiadamiając ich o formowaniu się polskiego oddziału, który będzie walczył o Cytadelę. Milicjanci pukając do mieszkań, piwnic i bunkrów oznajmiali cel swego przybycia i wyznaczali dla ochotników punkty zbrojne. Funkcjonariusze MO przyjmowano serdecznie, tu i ówdzie czczonego czczeniem, tu i ówdzie czczonego czczeniem. Wszyscy rozumieć doskonale, że aby uwolnić się od niebezpieczeństwa, jakie dla miasta stanowił okrażający hitlerowcy, trzeba ich ostatecznie rozgromić.

Poznaniacy zostali podzieleni na grupy bojowe i sapersko-transportowe. Każda z tych grup legitymowała się dużymi osiągnięciami. Ci, którzy znaleźli się w grupach bojowych, otrzymali broń i krótką instrukcję o zadaniach i sposobach prowadzonej walki. Uformowano z nich dwie silne kompanie szturmowe, liczące ok. 600 żołnierzy. Pozostali przysięgli niezwłocznie do wykonania zadań niemieckich, a także przy tym niebezpiecznych. Oddziały saperskie i transportowe pod nieustannym nadzorem nieprzyjacielskich dowodzących niezbędny sprzęt, amunicję i materiały wybuchowe.

Grupami bojowymi poznaniaków dowodzili Polacy, którzy lepiej lub gorzej obeznani byli z zasadami wyszkolenia bojowego. Pod ogólnym dowództwem radzieckim prowadzili oni swych kolegów do walki z hitlerowcami.

Niemcy zaś nie rezygnowali z walki. Bronili się zaciekłe i rozpaczliwie, zgodnie z dyrektywą naczelnego dowództwa, siejąc spustoszenie ogniem artyleryjskim, pancerfaustów, karabinów maszynowych oraz granatami. Głębokie mury twierdzy oraz dobrze rozmieszczone stanowiska ogniowe czyniły twierdzę niezwykle trudną do zdobycia. Głęboki i niełatwy do przebycia rów uniemożliwiał bez uprzedniego saperskiego przygotowania użycie w tej walce czołgów i dział radzieckich. Dlatego grupy saperskie poznaniaków i żołnierzy radzieckich otrzymały zadanie zbudowania specjalnego mostu na rowie oraz zasypania rowu w trzech wyznaczonych odcinkach. Zadanie to grupy saperskie wykonały w rekordowym wprost tempie, pod gwałtownym ogniem nieprzyjacielskich. W dzień i w nocy zwożono i znoszono drzewo, pnienie, kamienie i cegły na miejsca, na których niebawem powstały mosty umożliwiające podjęcie decydującego szturmu. Saperzy i piechota radziecka wspólnie z ochotnikami Poznania podpalali pod mury Cytadeli materiały wybuchowe, którymi kruszono umocnienia hitlerowców, tworząc w nich wyloty dla oddziałów szturmowych.

Zgodnie z planem operacyjnym dowództwa wojsk radzieckich w dniach

od 21 do 23 lutego przystąpiono do ostatecznej likwidacji dużego liczebnie, (załoga broniących się hitlerowców w Cytadeli wynosiła ok. 15 tys. osób), doskonale wyposażonego w broń, amunicję i żywność oraz dobrze umocnionego, ostatniego gniazda oporu hitlerowców w Poznaniu.

Grupy bojowe ochotników poznańskich wraz z żołnierzami radzieckimi za pomocą materiałów łatwopalnych — podpalonej benzyny i oliwy, zmusili Niemców dymem i ogniem do opuszczenia dolnych pięter twierdzy. Walka toczyła się tu o każdy skrawek ziemi.

Oddziały transportowo-zaopatrzeniowe dwójac się i tworząc niestrudzone do wozy amunicji i broń szturmującą żołnierzom. Dowodziły one także żywność i pomagały w przenoszeniu rannych. Tam, gdzie podnosiły się jęki rannych, wkraczała nierzadko z narażeniem życia służba sanitarna, niosąc pomoc swoim kolegom i przyjaciółom. Zabici i ranni padali coraz gęściej.

Decydująca walka o Cytadelę rozpoczęła się w dniu 21 lutego. Współdziałało w niej lotnictwo radzieckie. W tym dniu, jak również w następnym wojska radzieckie i oddziały ochotników przeprowadziły kilka udanych uderzeń, w wyniku których rozczłonkowano hitlerowskie oddziały na szereg grup, pozabawionych między sobą łączności. Zwiastowało to rychłą klęskę hitlerowców.

Naczelnego dowództwa Wehrmachtu było wyraźnie niezadowolone z przebiegu walk o Poznań i Cytadelę. Przynadzieje na utrzymanie i związanie walką dużych oddziałów radzieckich w Poznaniu. Dając wyraz temu niezadowoleniu w czasie łączącej się bitwy drogą radiową odwołano, jak już wspomnieliśmy, dotychczasowego dowódcę obrony gen. Materna, który, zdaniem naczelnego dowództwa Wehrmachtu, zbyt wcześnie zdradzał skłonności do kapitulacji.

W tym samym czasie z przednich pozycji radzieckich przekazywano meldunki o tym, że hitlerowcy bronią się zażarcie i wskazywano stanowiska ogniowe nieprzyjaciela. Padła ponownie komenda: ogień na Cytadelę! Ostateczne przygotowania do decydującego szturmu dobiegły już końca. Z punktu dowodzenia gen. mira Sze-menkowa wydano rozkaz skierować silny ogień ze wszystkich dział na ostatni punkt oporu wroga.

Nastąpił na pewien czas grobowy cisza. Umilkły działa i karabiny maszynowe.

Dokończenie na str. 2

Słoty rocznik „Głosu Wielkopolskiego” drzemie sobie sen nie na półce redakcyjnego archiwum. Co roku jednak — w miesiącu, którego nazwę otrzymała jedna z poznańskich ulic — kartki rocznika zaczynają żyć. Uczniowie szkół poznańskich, studenci, dziennikarze, ba, nawet poeci, zaglądają do grubej księgi — tak bardzo zbliżającej historię. Pożółkły już kartki starożytności, lecz wspomnienia dni zapisanych w jego kronice są świeże i żywe. Pamiętasz?

„Głos Wielkopolski”, Poznań, środa 21 lutego 1945.

OTWARCIE PIERWSZEJ ŚWIETLICY W POZNANIU

W niedzielę, 18 lutego w gmachu Wojewódzkiego Urzędu Informacji i Propagandy przy ul. Chelmońskiego 22 odbyło się otwarcie świetlicy przeznaczonej dla pracowników Urzędu Wojewódzkiego. Otwarcia dokonał wice wojewoda dr Feliks Widy-Wirski. W części artystycznej udział brali: artysta dramatyczny Jan Szulc, pianista Gerhard Kotzur, tenor Stefan Stulgrosz oraz akompaniator Wiktor Buchwald.

To była też niedziela. Jak dziś. Tylko dźwięki poloneza As-dur Chopina przerywały raz po raz głucho detonacje. Tylko dymy zgliszcz Starego Ratusza, dopalał się Pałac Działalności. Przez umęczone, zdeptane miasto płynęła melodia znana, bliska. Dumna melodia niepokonanego narodu.

Tak zaczął się nowy etap w rozwoju kultury polskiej w naszym mieście. Etap, którego program rozwojowy pisali ludzie legitymujący się skromnymi, czerwonymi książeczkami z napisem PPR.

☆

W domu partii na Matejki wrzało jak w ulu. Dzień pracy trwał 24 godziny. Aprowizacja. Rozruch fabryk. Komunikacja. Szkoły. Kultura. Robota, pełno roboty. Nie zapomniano o niczym. Obok ważnych narad gospodarczych do późna w noc dyskutowano nad koncepcją rozwoju kulturalnego naszego miasta. Nad upowszechnieniem sztuki, zerwaniem z jej elitaryzmem, pojęciem do hal fabrycznych z koncertem, teatrem, wystawą. Mogą o tych wieczorach — gorących, pełnych twórczej kłótni — powiedzieć dziś niejedno ówczesny sekretarz KM PPR Maksymilian Bartz, prof. dr Zdzisław Kepiński, dr Jarosław Słuzar, dwaj bracia Witold i Gerhard Kotzurowie, Tadeusz Becela, prof. dr Józef Jankowiak, dr Lech Wierusz, Stanisław Hebanowski i wielu innych. Ludzie partii — przedwojenna lewicująca inteligencja poznańska — nie zasklepiali się bowiem we własnym gronie. Polityka kulturalna partii była polityką „otwartych drzwi”. Wokół partyjnych działaczy kultury skupiało się środowisko wszystkich postępowych intelektualistów i twórców poznańskich. Tak powstało jesienią 1945 roku Towarzystwo Współpracy Kulturalnej.

Towarzystwo Współpracy Kulturalnej działało przez 3 sekcje: filozoficzno-społeczną, muzyczną i lekarską. Ta ostatnia tylko pozornie może się wydawać nieco dziwną pod szyldem Towarzystwa. Jeśli się jednak weźmie pod uwagę stan urządzeń sanitarnych i wąski zasięg

lecnicztwa przedwojennego, nie może dziwić aktywność lekarzy-społeczników pragnących poprzez Towarzystwo walczyć o postulat nie tylko upowszechnienia leczenia, lecz przede wszystkim szerokiego działania profilaktycznego w trosce o zdrowie społeczeństwa. Wielu poznaniaków do dziś pamięta świetne odczyty dyskusyjne wygłaszane na tzw. „srodach filozoficznych” organizowanych przez Towarzystwo Współpracy Kulturalnej w ówczesnej Białej Sali Urzędu Wojewódzkiego. Prelegentami byli znani naukowcy. Prof. dr Kazimierz Ajdukiewicz, prof. dr Zygmunt Szwejkowski, prof. dr Wacław Kubacki, prof. dr Adam Wiegner, prof. dr Tadeusz Kurkiewicz i wielu innych.

Ale najtrwalszy ślad działalności Towarzystwa Współpracy Kulturalnej w naszym mieście i województwie pozostawiła po sobie sekcja muzyczna Towarzystwa, którą kierowali Witold i Gerhard Kotzurowie. Potrafiła ona wzbudzić zainteresowanie wybitnych muzyków instrumentalistów, schodzących się na uprawianie muzyki kameralnej w jednej z sal Muzeum Wielkopolskiego. Członkami tego organizacyjnego zawiązku przyszłej Filharmonii byli: niestrudzony A. B. Ciechoński, J. Rakowski, T. Duszyński, T. Tułasiewicz, L. Wysocinski, S. Głowacki, B. Hybki. — z orkiestry operowej K. Flatau (klawesyn), dyrygent M. Szczepkowski, altowiolista T. Sobolewski oraz obecni filharmonicy: T. Mocek, T. Janicki i R. Hadryan. Stroną wokalaną zajmował się L. Sulikowski. Działalność tego kameralnego zespołu, oparta na całkowitej bezinteresowności, pozwoliła na snuć coraz ambitniejszych planów. Tak powstał projekt stworzenia Towarzystwa Filharmonii Robotniczej, którego konstytucyjne zebranie — w maju 1946 r. — powołało na prezesa prof. dr. Zdzisława Kepińskiego.

Koncepcja stworzenia Filharmonii z własnym zespołem symfonicznym i chóralnym jako ogniska życia koncertowego miasta napotkała na opory minimalistów. Mówiono: starczy Opera. Koncepcję tę poparła jednak w całej rozciągłości partia, podejmując uchwałę Egzekutywy Komitetu Miejskiego PPR

w tej sprawie. Pierwszą subwencję dla tworzącej się Filharmonii Robotniczej dały Zakłady Cegielskie. Tam też w stołowie przy udziale blisko 2 tys. robotników odbył się 28 grudnia 1946 r. pierwszy koncert symfoniczny, na którym solistą był Raul Koczalski. Dyrygował Zygmunt Latoszewski. Filharmonia — jak wiemy — została z czasem u państwowiona, a Towarzystwo Filharmonii Robotniczej powołało do życia drugą orkiestrę symfoniczną, która do dziś krzewi kulturę muzyczną w najdalszych kątach naszego województwa.

Idea zbliżania twórców do mas, którą przejęła była praca PPR-owskich działaczy kulturalnych stawała się bliska wielu wybitnym artystom. Oto co pisze Raul Koczalski w dniu 5. I. 1947 r. do swego przyjaciela H. G.

„Pierwszy koncert nowo założonej Filharmonii Robotniczej w Poznaniu był wielkim sukcesem. Ołbrzymia sala Zakładów Cegielskiego zgromadziła blisko 2 tys. słuchaczy. Grałem koncert E-moll Chopina pod dyrykcją Zygmunta Latoszewskiego. Krytyka i słuchacze mówili, że jeszcze nigdy tak pięknie nie grałem.”

O wadze, jaką Polska Partia Robotnicza przywiązywała do spraw kultury, świadczy najlepiej fakt, że już w roku 1946 powstał przy Komitecie Miejskim PPR jeden z pierwszych wydziałów kultury w kraju. Kierował nim Gerhard Kotzur. Koła PPR-owskie powstawały przy wszystkich instytucjach kulturalnych. W Związku Plastyków pracą partyjną kierował znany artysta-plastyk Alfred Lenica, były KPP-owiec. Dzięki żywej aurze intelektualnej, którą promieniowało miasto, do Poznania zjeżdżało coraz więcej świetnych twórców, jak artyści-malarze: Jan Szczepański, Eustachy Wasilkowski, Tadeusz Polański, nie licząc ruchliwoci rodowitych poznaniaków, jak Wacław Taranczewski, Wit Gawecki i Zygmunt Szpingier. Zjeżdżała się też bracia literacka: Stefan Koloniewicz, bracia Stefan i Stanisław Sojczy i wielu innych. Kierownictwo powstałego po wojnie pisma literackiego „Zdroje” objął

Dokończenie na str. 2

Ryszard Danecki

Pogrzeb Broniewskiego

Mazowieckie piachy przesypuje znów szpadeł —
przypomina się rowów strzeleckich kopanie,
zawiły zygzak rozprutego łąki ściegu
i huk karabinowych salw —
ale dziś — strzelają honorowe kompanie —
w bielutkich rękawiczkach, wyciągnięte w szpaler,
z bżem białym dymków w ten dzień lutowy bez śniegu —
echo grzmiących brawami sal...

Warszawa, 14. II. 1962

Bogusław Kogut

Syn niepodległej pieśni

„Mówi wszyscy z niego” — mówił Julian Tuwim o Stefanie Żeromskim, a było to bardzo dawno. Obecnie, w czasie dezintegracji literatury, kiedy to każdy piszący rad by mieć swój własny, odrębny i absolutnie niezależny rodowód, nie ma miejsca na takie wyznania. Ale ktoś z nas, poetów lat czterdziestych i pięćdziesiątych, poetów zafascynowanych socjalistyczną rewolucją i pragnących oddać sprawie socjalizmu swój talent, swoje słowo i wszystko co najlepsze — nie jest z Broniewskiego? Kto z nas nie uczył się od Niego abecadła rewolucyjnego po-stawy poetyckiej, nie rozczytywał się w Jego urzekającej pozorna

latwością poezji, podziwiając i po trosze zazdroszcząc, naśladowując mniej lub więcej świadomie, mniej lub więcej udolnie? Rzecz jasna, nikt z neofitów nie osiągnął jego wyżyn, ani tego stopnia doskonałej prostoty, ani głębi liryzmu, ani — wreszcie — tak szerokiego rezonansu społecznego. Bo Władysław Broniewski nie był miszrem tworzącym szkołę, ani żadnym „wodem poetów”. Jego poezja wyrosła nie na przetwarzaniu doświadczeń szkół literackich, ale na przeżywaniu doświadczeń narodu. I w tym sensie Broniewski jest poetą najbardziej ludowym. Mówię — jest, bo Jego wspaniała poezja żyje naprawdę, towarzyszy nam i towarzyszyć będzie następnym pokoleniom budowniczym sprawiedliwego ładu, twórców pokojowego życia, obrońców wolnego człowieka.

Władysław Broniewski nie urodził się rewolucjonistą. Od legionów do ulicy Pawiej droga była daleka, choć poeta przeżył ją w czasie stosunkowo nie nazbyt długim. Gorący patriotyzm połączony z umiłowaniem prawdy, wrażliwość na krzywdę i nieomylny instykt społeczny — ułatwiły tę drogę, skróciły ją w czasie. Ułatwiły — to nie znaczy, że ustały

ja różami, to znaczy tylko, że pomogli dokonać wyboru, podjąć decyzję, po czyjej stronie należy stanąć i zaangażować wszystkie siły. Odtąd poeta walczyć będzie w czołowie ruchu komunistycznego, walczyć przede wszystkim pieśnią, która towarzyszyć będzie zarówno więźniom w celi jak i żołnierzom na froncie. W tej walce Jego wielki talent zabłysnie najmocniej i najpełniej, zaowocuje dziełami nieprzemijającymi.

Różne bywały losy poetów. W naszej szerokości geograficznej, ściśle: w naszym narodzie, już od wielu, wielu pokoleń losy te bywały na ogół niezbyt łaskawe. Walca, ponieważ i cierpienie stanowią główną ich treść. Broniewski mówił o sobie: „...syn podbitego narodu, syn niepodległej pieśni”. Trudno o bardziej lapidarny życiorys poety, walczącego patriotę i rewolucjonistę. Dziś, na szczęście, możemy sobie odpowiedzieć, że niepodległa pieśń jest pieśnią zwycięską.

★

Szukaliśmy Broniewskiego jesienią ubiegłego roku, chcąc go prosić o udział w jury nagrody poetyckiej V Festiwalu Młodej

Poezji. Nie dostaliśmy się do Niego, leżał w lecznicy ciężko chory. Już wtedy było właściwie wiadomo, ale przecież ludziliśmy się jeszcze. Zawsze ludzimy się, że śmierć w jakiejś przedostatniej chwili zrezygnuje. Nie zrezygnowała.

Ostatni raz rozmawiałem z Broniewskim w Sopocie, w grudniu 1960 roku, podczas walnego zjazdu literatów. Broniewski, z pozoru marsowy i jakoś wewnętrznie napięty, był w gruncie rzeczy człowiekiem bezpośrednim, w rozmowie szybko przechodził na ton tak szczerzy, że aż poufały. Przestrzegał mnie, bym nie „zgułbił młodociny”, od niej wszystko właściwie zależy, potem jest już tylko dalszy ciąg. Oponowałem, że już nie jestem wcale tak młody, że jestem już raczej na etapie dalszego ciągu. Przyznał mi rację i zaraz zmieniliśmy temat rozmowy na mniej zasadniczy. Broniewski ożywił się, rozweselił.

I taki, zmęczony i rozweselony na przemian, pozostał w mojej pamięci.

Autor — profesor chemii i kierownik Katedry Chemii Stosowanej Uniwersytetu im. A. Mickiewicza przebywał ostatnio w Związku Radzieckim w ramach wymiany kulturalno-naukowej Polska — ZSRR jako gość tamtejszego Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego oraz instytucji naukowych.

Prof. dr Maksymilian Kranz

W radzieckim kalejdoskopie

MOSKWA Na pierwszy ogień poszła oczywiście Moskwa. Byłem ogromnie ciekaw, jak odniosą się do mnie, stosunkowo młodego (przeciętny wiek profesora w Polsce wynosi 60 lat — w ZSRR 70 lat) znani profesorowie radzieccy, w większości sławy światowe. Powitanie na Dworcu Białoruskim rozwiało obawy. Koledzy z Uniwersytetu im. Lomonosowa, są ujmujący, mili i bezpośredni. Pierwsze lody pękają. Nawet moja „podrecznikowa” ruszczyzna, której efektu trochę się tu bałem, nie budzi zdziwienia. Moi rozmówcy, aby mi dodać odwagi, wspominają wesoło własne mimowolne gaffy językowe, których się dopuścili.

Uniwersytet Moskiewski imienia Lomonosowa jest celowo odsunięty od gwaru miasta, na Wzgórza Lenińskie. Jest to właściwie udzielny gród w Moskwie. Mieszka tu około 5 tysięcy osób, przewijają się nato-

miast dziennie do 30 tysięcy studiujących. Tu spełnia się szlachetna misja zbratania narodów, bez różnicy przekonań, wyznania i koloru skóry.

Przed bramami wejściowymi sznury samochodów, wewnątrz, na dziedzińcach, u stóp 30-piętrowych wież, parkingi zapelnione wózkami dziecięcymi. To najmłodsza „kadra naukowa”, której rodzice przebywają w tej chwili na wykładach. W ten sposób zabezpieczona jest już przyszłość nauki.

Komunikacja wewnątrz budynku rozwiązana wspaniale. Windy szybkie, samoobsługowe i niezawodne. Uniwersytet to nie tylko właściwa uczelnia, ale i nadto cały kombinat handlowo-kulturalno-społeczny. Są tam więc różnorodne sklepy, stołówki, bary, kawiarnie, apteki, poczta, bank, szpital, kino, teatr, fryzjer, a także sale gimnastyczne, basen pływacki, stadion, lodowisko itp. Można tu odbyć studia, nie ruszając się krokiem poza terytorium Uniwersytetu.

Odrębna sprawa, to organizacja nauki. Każdy wydział mieści się w ogromnym osobnym budynku, którego osi jest biblioteka wydzielona. Katedry uniwersyteckie są na ogół duże, mają z reguły liczną obsługę personalną. Zwiedzałem katedry, które miały po czterdziestu pracowników naukowych (profesorów, docentów, asystentów i stażystów) oraz taką samą liczbę лаборantów. A więc katedry-giganty. Inne, specjalistyczne, są mniejsze. Nieco zazdrości wzbudzała ta duża ilość лаборantów, ten właściwie dobrany stosunek лаборantów do pracowników naukowych (1:1). W Polsce jest on około 10 razy mniejszy. Nie docenia się u nas, niestety, roli лаборanta, tego podoficera armii naukowej.

LENINGRAD Urzeka swą piękną sylwetką architektoniczną. Ruch podobny jak w Moskwie. Leningrad do dziś usiłuje rywalizować z Moskwą. Również tu pielęgnowany jest kult dobrego jedzenia. Je się tam przy każdej okazji i na każdym miejscu. Czy to będzie w Uniwersytecie, w teatrze, w muzeum czy cyrku — wszędzie czekają zastawione stoły, przy których trudno znaleźć wolne miejsce. Nie można nie ulec tej pokusie.

Uniwersytet Leningradzki skupia niewiele mniej studentów niż Moskiewski. I tu również przyjęto mnie niesłychanie serdecznie. I tu także moja propozycja współpracy znalazła żywy odzew. Polskich naukowców znają tutaj i cenią. Znajdujemy bardzo szybko wspólny język naukowy.

Tłumek leningradzki jest jak i nasz — ani lepszy ani gorszy. Tak samo chętnie przejdzie przez jezdnię w miejscu niedozwolonym, korzystając z chwilowej nieuwagi milicjanta, podobnie w biegu wskakuje do tramwajów, tłoczy się w metro, autobusie czy trolejbusie. Tak samo

młodzież usiłuje chulić, gdyby im tylko na to pozwolić. Ale tu reakcja społeczeństwa jest zdecydowana i natychmiastowa. Nie ma najszybszej bierności. Wieczorem krąży po ulicy patrol młodzieżowy, które tłumia w zarodku wszelkie objawy chuligaństwa. Bieda pijakowi, który się nawinie pod ręce. Donośny dzwiek gwizdka — za chwilę zjawia się jakby spod ziemi milicjant.

Także uczciwość na codzień przestała być problemem w Związku Radzieckim. Mimo braku konduktorów

Listy z podróży naukowej

wszyscy wykupują bilety samousługowe. Jak czytałem w prasie radzieckiej wyjątki od tej reguły zdarzają się naprawdę bardzo rzadko.

CHARKÓW Krzywa temperatury spotkań osiągnęła tu swoje maksimum. Przyjmowano mnie więcej niż serdecznie. Nie tylko nawiązałem współpracę naukową, lecz również więzy przyjaźni. Z radością stwierdziłem, że nieobce im są niektóre z moich prac naukowych. Było to dla mnie bardzo miłą niespodzianką. W przyjacielskich pogawędkach dotarliśmy nawet do krainy Hobby. Okazuje się, że moi koledzy charkowscy również ulegli temu miłemu bakcyliowi. Spotkałem tu chyba króla hobbistów. Mimo iż był seniorem tamtejszych profesorów, zainteresowania jego były zadziwiające: nie tylko ryby, znaczki, majsterkowanie najwyższej klasy (własnoręcznie wykonuje precy-

zyjną aparaturę naukową), ale uprawia akrobatykę motocyklową.

Uniwersytet Charkowski położony jest przy wspaniałym Bulwarze Dzierżyńskiego. Studiuje tam mniej więcej ta sama ilość studentów, co na naszym UAM. Imponująca wysoka sylwetka Uniwersytetu wybija się ponad inne wieżowce Charkowa. Charków to miasto wyższych uczelni i instytucji naukowych. Jest ich tu prawie setka. Dużą ozdobą miasta są liczne parki i zieleńce. Miasto rozbudowuje się z niesłychaną szybkością. Mimo że jest miastem milionowym, w porównaniu z Moskwą i Leningradem sprawia wrażenie prowincji.

Tętno jego życia jest o wiele słabsze. Nie ma tu już tego tłoku na ulicach. Przechodząc nie ginie w przelewającej się masie ludzkiej. Zaskakujący kontrast stanowią Dwo rzeć i Opera. Dworzec wspaniały i ogromny — Opera niepokorna, schowana wśród zaułków. Natomiast cyrk, na który mnie niemal przemocą zaciągnięto, zadziwił wysokim poziomem. Bije on pod tym względem nawet znany Wintergarten berliński. Przedstawienie było superbombowe, od sputników do elektroniki włącznie. Między innymi widzieliśmy wywołanie przy pomocy butelki dowolnego abonenta telefonicznego m. Charkowa z pominięciem sieci telefonicznej. Bez drutu, bez aparatu... O ileż sympatyczniejsze wykorzystanie butelki!

Miesiąc pobytu w Związku Radzieckim minął niepostrzeżenie. Wśród różnorodnych wrażeń, czas jakby przedzielił. Odjeżdżam mając zapewnienie rewizyty ze strony profesorów radzieckich.

Co ułatwia nadużycia?

Rzeczpospolita zapłaci — oznacza, że zapłacimy — wszyscy. Ale nad tym wielu braci rodaków wcale się nie zastanawia. Stąd też w gospodarce uspołecznionej roi się od uchyleń i zaniedbań znakomicie ułatwiających działanie malwersantów.

Tolerancja

Pod koniec ub. roku 44 jednostki gospodarki uspołecznionej zostały objęte kontrolą koordynowaną przez poznańską delegaturę Najwyższej Izby Kontroli. Dociekania dotyczyły zwalczania przestępstw i skuteczności zapobiegania nadużyciom.

W 10 jednostkach stwierdzono brak doniesienia karnego przeciwko winnym zaniedbania i kontroli, a w 12 niewyciągnięcie konsekwencji służbowych wobec sprawców nadużyć. Dotyczy to szczególnie przedsiębiorstw handlu detalicznego i przemysłu gastronomicznego, podległych radom narodowym. Trzeba dodać, że tolerancyjny stosunek kierownictwa do winowajców występuje niekiedy przy całkowitej aprobacie i poparciu rad zakładowych.

W sześciu placówkach handlowych i gastronomicznych (na 9 kontrolowanych) ujawniono właśnie dalsze zatrudnianie mankiewiczów, co spowodowało dokonanie przez część z nich... dalszych nadużyć... Skoro mowa o gastronomii warto wtrącić, że nadwyżki — noszące cechy działania na szkodę konsumenta — wyniosły w 1959 r. — 892 tys. zł, w 1960 r. — 1457 tys. zł, w trzech kwartałach 1961 r. — 758 tys. zł. Chodzi tylko o placówki podległe Poznańskiemu Zjednoczeniu Przedsiębiorstw Handlowych.

Przykład tolerancji z poznańskiego MHD Nabiałem. W lipcu 1961 roku w sklepie nr 36 (kierownik — Danuta T.) wykryto manko w wysokości 7 tys. zł. Zamiast kierowniczkę ukarać, przeniesiono ją do innego sklepu, gdzie spowodowała niedobór — 20.357 zł.

Jeszcze gorzej było w Skarszewie (pow. Kalisz). O ujawnionym w

tamtejszym magazynie manku (364 tys. zł) Zakład Handlu WZGS nie powiadomił organów śledczych. Inwenturę uznano za nieważną. Aliści następna wykazała, że pełniący nadal obowiązki magazyniera Józef D. spowodował niedobór w wysokości 696 tys. zł i superatę — 421 tys. zł w innych asortymentach.

1 kontroler i 600 aut

Tomy można by pisać na temat braku troski o społeczne mienie. W toku kontroli stwierdzono np. że w 11 jednostkach powierzono pracownikom mienie bez sporządzenia protokołów zdawczo-odbiorczych. 217 osobom powierzono ma-

Michał Łuczak

Rzeczpospolita zapłaci

jątek spółdzielczy bez podpisania przez nie zobowiązań o przyjęciu odpowiedzialności materialnej.

W 15 placówkach stwierdzono nieterminowe przeprowadzanie inwentur, a w 10 wadliwie ich przeprowadzanie i także rozliczanie różnic inwentaryzacyjnych.

Aż w 20 jednostkach brak było technicznego zaopatrzenia obiektów, natomiast w 6 — panował wadliwy system przepustkowy. A propos, W Miejskich Zakładach Terenowych Materiałów Budowlanych w Poznaniu wydawano wyroby ceramiczne na podstawie przepustek nie będących drukami ścisłego zarachowania. „Kontrolowaniem” wywozu kruszywa ze zwirowni (dziennie 1600 ton przy ruchu 600 pojazdów) zajmował się jeden pracownik.

Prawdziwe cudenka wynikały ze stosowania wadliwych norm zużycia surowców i wydajności pracy. Te ostatnie plus brak kontroli wykonanych robót doprowadziły do tego, że w Wielobranżowej Spółdzielni Pracy w Pile 13-osobowa ekipa kotłarzy zarabiała miesięcz-

JAK FENIKS

Dokończenie ze str. 1

w maju 1945 r. Jarosław Iwaszkiewicz. W Teatrze Polskim, kierowanym przez Władysława Stomę, widzieliśmy takich artystów, jak Zofia Barwińska, Aleksander Dzwonkowski, Katarzyna Zbikowska, Adam Kuryło, Zbigniew Wojdan i inni. W tym czasie powstaje też w Poznaniu Studio Dramatyczne kierowane przez niezapomnianą Nunę Młodziejowską — Szczurkiewiczową. Zanim poznaniacy zdążyli powprawić wszystkie szczyby w zniszczonych mieszkaniach, zanim do syta jadali chleb robotnicy poznający — jak feniks z popiołów powstawała do życia sztuka polska ogarniając zasięgiem kulturalnym wszystkie dziedziny życia społecznego.

Jest niedziela, 18 lutego 1962 r. Z pokoju przy ul. Ogrodowej 18, pamiętając o wielu gorących dyskusjach nad kształtem poznania życia kulturalnego, płyną przez okno dźwięki poloneza As-dur Chopina. Jak przed 17 laty gra Gerhard Kotzur — profesor Państwowej Szkoły Baletowej w Poznaniu. Ze ścian patrzy z mądrą powagą maska posmiertna Beethovena, a obok niej widnieje skromny dyplom. Przeczytajmy:

„Za ofiarną pracę nad spotęgowaniem siły i wpływu partii wśród mas pracujących, za czynny i pełny poświęcenie udział w kampanii wyborczej uwiecznionej zwycięstwem Demokracji Ludowej w wyborach do Sejmu Ustawodawczego w Odrodzonej Polsce. Poznań, styczeń 1947 r.

Władysław Gomułka (Wiesław)“

Dźwięki muzyki płyną do pobliskiego parku i błądzą wśród drzew pamiętających stary cmentarz. A na ulicy ruch. Ludzie wracają ze spacerów, kawiarni, kin i kościołów na obiad. Jest niedziela, 18 lutego 1962 roku.

ZOFIA ANDRZEJEWSKA

nie od 11—15 tys. zł każdy! Czyściciele okien (Spółdzielnia Pracy „Czystość” w Poznaniu) uzyskiwali natomiast miesięcznie od 4—6 tys. zł. Też „nieźle”.

„Polityka kadrowa”

W spółdzielczości wiejskiej na 9845 pracowników materialnie odpowiedzialnych aż 1185 nie posiadało wykształcenia podstawowego.

W Poznaniu na stanowisko dyrektora byłego MHD Nabiałem i Pieczywem powołano osobę nie posiadającą minimum kwalifikacji określonych w zarządzeniu nr 29 MHW (brak średniego wykształcenia i jakiegokolwiek praktyki w handlu).

Kilka liczb. W 12 jednostkach stwierdzono angażowanie i zatrudnianie osób karanych za nadużycia gospodarcze,

w 19 — przyjmowanie do pracy bez opinii z poprzedniego zakładu, w 21 — bez zaciągania informacji z Ministerstwa Sprawiedliwości. Czyli — byle zatrudnić. Kogo? — to już obojętne.

Jeszcze o kotomyjce: w 30 placówkach — na 44 skontrolowane — nie wykorzystano w pełni uwag, zaleceń i wniosków wysuniętych w wyniku poprzednich kontroli, chociaż powiadomiono — kogo trzeba — o ich realizacji.

Precz z biernością!

Tak w ogromnym skrócie wyglądają wyniki kontroli. Wnioski nasuwają się same. Zahamowanie przestępczości gospodarczej zależy w dużej mierze od wzrostu aktywności zakładowych organizacji społecznych. Wydają się również konieczne pewne cięcia personalne w kierownictwie poszczególnych zakładów. Nadal trzeba też walczyć o to, by powierzanie bardziej odpowiedzialnych stanowisk odbywało się po szczególnie wnikliwej analizie kwalifikacji zawodowych i wartości moralnej kandydatów.

W dalszym ciągu aktualny jest wysuwany przez nas niejednokrotnie postulat zasadniczej reorganizacji kontroli wewnętrznej. Jej dotychczasowy styl działania budzi bowiem zbyt wiele zastrzeżeń.

Ostatnie dni „Festung Posen”

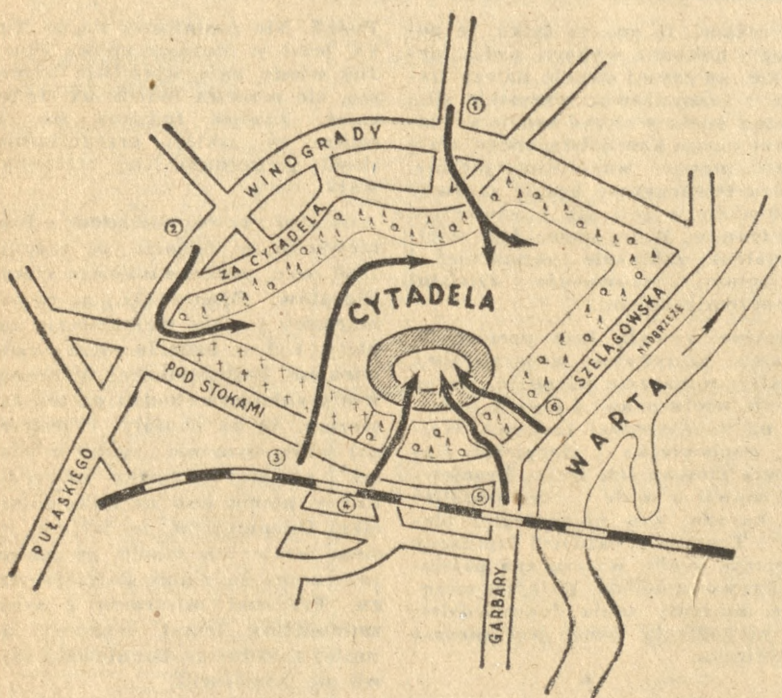
Dokończenie ze str. 1

nowe, jedynie tu i ówdzie daly się jeszcze słyszeć pojedyncze strzały i warkot przelatujących samolotów. Wśród płomieni i dymu oficer radziecki wyprowadził z ruin gen. Materna wraz z jego sztabem. Ojczył hitlerowski generał był w dobrym humorze, czarny i osmalony od dymu, chętnie odpowiadał na stawiane mu pytania. Generał Gonnell w ostatniej chwili popełnił samobójstwo.

Szłum generalny na pozycje nieprzyjacielskie przypuszczono w nocy z 22 na 23 lutego. Dokonano poważniejszych wyłomów w pierwszych liniach murów Cytadeli. Wpółdziałając z artylerią, lotnictwem radzieckim intensywnie bombardowało umocnienia Cytadeli. Niemcy starali się kontratakami wyprzeć z wyłomów radzieckie i polskie grupy szturmowe. Było to już jednak niemożliwe i wysiłki nieprzyjaciela spełzły na niczym.

Na dziedzińcu Cytadeli w straszliwym zgłębku pocisków, rwących się pancerników, min i granatów polscy ochotnicy i radzieccy żołnierze opierali niedostępny — jak się mogło wydawać — teren i zabudowania. Gwałtowny szturm przy współudziale wszystkich rodzajów broni zakończył się zwycięstwem w dniu 23 lutego 1945 roku. Niemcy skapitulowali. Cytadela została zdobyta. Padły grube ściany starej fortecy. Nie pomógł pięciometrowy rów, nie wytrzymały uderzenia żelazobetonowe umocnienia, wszystko zostało zdruzgotane i rozbite. Na gruzach Cytadeli zatopotał czerwony i biało-czerwony sztandar, oznajmiający koniec oporu hitlerowców.

BENEDYKT CADER



SZKIC POZNAŃSKIEJ CYTADELI

Cyfrę od 1 do 6 oznaczają stanowiska wyjściowe do natarcia, strzałki wskazują kierunki uderzenia.

1800

lecie Kalisza i związana z jubileuszem aktywizacja środowiska, a potem Wielkopolski Festiwal Kultury wywołały w mieście, a na wiet w całym regionie kaliskim określoną sytuację kulturową: ruszyło się — o Kaliszu nagle zaczęto mówić, pisać i to nie tylko w gazecie wojewódzkiej, ale i w pismach centralnych.

Po okresie „szczytu” trudno już było wypuścić berło inicjatywy z ręki, popaść w bezczynność, raz podjęta akcja, ożywienie środowiska nie mogło wygasnąć, jego ambicją stało się kontynuowanie pożytecznych inicjatyw, tworzenie nowych. Oto prośbę, klasyczny przykład owocowania dni, festiwalu, jubileuszy, oto — wielomówiące procenty od wysiłku społecznego i funduszy zainwestowanych przez państwo w te przedsięwzięcia.

Z zakończonego przed pół rokiem Wielkopolskiego Festiwalu Kulturowego ostały się Kaliskie Spotkania Teatralne, które — śmiem wierzyć — przejdą do tradycji kulturalnych miasta.

Tegoroczne Kaliskie Spotkania Teatralne odbędą się w dniach 2—11 maja br. a wezmą w nich udział te same teatry, co w 1961 roku, z Poznania — Państwowy Teatr Polski i Teatr Satyry, dalej Gniezno, Zielona Góra, Koszalin, Lublin, Teatr Powszechny z Łodzi, Teatr Dramatyczny z Warszawy (poza konkursem) i gospodarze. Zabraknie więc Częstochowy, którą zastąpi Teatr Nowy z Łodzi, po zostający do niedawna pod kierownictwem Kazimierza Dejmka. Spiritus movens imprezy dyr. Tadeusz Kubalski jest dobrej myśli, fundusze — są, jurorzy (i to jacy!) — przyjadą, publiczność, sądząc po doświadczeniach z roku 1961 — zjawi się tłumnie. Dyr. Kubalski reprezentuje znanego w Poznaniu Crommelynka — „Anioła i czartha” oraz „Zasadę” — Abramowa (obie sztuki są prapremierami polskimi na scenie kaliskiej). W ogóle w bieżącym sezonie teatralnym należy stwierdzić zatrzęsienie prapremier, dyr. Perz dał (lub da) że cztery prapremiery, Kalisz zdaje się — dwie, Gniezno dało już jedną („Cudowną wodę” — Synge’a), wywiałą się nawet swego rodzaju współzawodnictwo w tej dziedzinie i oto skutki — prezentowanie sztuk nowych, choć nie zawsze szczęśliwie dobranych. Ale to już inna sprawa. Pragnęlibym jeszcze zwrócić uwagę, że Jarosław Abramow (syn Igora Neverlego, autora „Pamiętniki z Celulozy”) napisał swą sztukę specjalnie dla Teatru im. Bogusławskiego w Kaliszu. Mnie wyróżnienie, tym miłsze że sztuka się podoba.

Szykują się w Kaliszu (też w maju tego roku) uroczystości, związane z 50-leciem pracy twórczej Marii Dąbrowskiej. Z tej okazji przewiduje się m. in. zwołanie sesji naukowej Instytutu Badań Literackich poświęconej twórczości znakomitej pisarki, wystawę wydawnictw (również przekłady dzieł autorki „Nocy i dni”), miejscowy Teatr Propozycji ma wystawić fragment jednej ze sztuk Dąbrowskiej projektując się prze-

mianowanie ulicy na Nowym Osiedlu na ulicę imienia jednego z bohaterów „Nocy i dni”, oczywiście, że w uroczystościach weźmie udział wielka autorka. Istnieje też zamiar urządzenia świetlicy w Rusowie, w dawnym dworcu, w którym urodziła się, wychowywała i pisała swą wielką powieść Maria Dąbrowska. Dalsza realizacja tego projektu łączy się z wykwalifikowaniem z b. dworku kilku rodzin, którym trzeba dać mieszkania zastępcze. Tutaj pole do popisu dla Prezydium Powiatowej Rady Narodowej, które — jak wynika z relacji kierownika Wydziału Kultury Prez. MRN w Kaliszu — Chorzewskie, nie bardzo się spieszy z załatwieniem tej sprawy.

Kaliski Jubileusz Marii Dąbrowskiej i Spotkania Teatralne — obie te akcje od „wielkiego dzwonu”, przysparzając chwały miastu, również dzięki udziałowi w nich gości z Warszawy, znakomości, reprezentujących stołeczny świat teatralny i literacki opiewane następnie w pismach centralnych — należą do niewątpliwie efektywnych dla poszukiwaczy sensacji na tzw. prowincji; niemniej często bardziej efektywnymi w skutku z punktu widzenia upowszechnienia kultury i sztuki i wychowania tym samym społeczeństwa są akcje „typowe”, chleb codzienny dla kultury i innych czynników.

Np. walka z alkoholizmem — to temat wręcz już banalny, biorąc chociażby pod uwagę mnogość reportaży, wypowiedzi, ankiet etc. Kier. Chorzewski jest zdania, że wypieranie knajp przez kawiarnie, połączone z działalnością kabaretu literackiego itp., a prowadzone przez młodzież i przede wszystkim dla młodzieży, słowem, że „akcja kawiarniana” czy „klubowa” jest jakimś niebagatelnym wyzwaniem rzuconym alkoholizmowi i jego wyznawcom. Jest w tym dużo racji, że tworzenie nowych ośrodków zainteresowań kultury może być odtrutką na alkoholizm, niemniej w ogólnym aspekcie walki z tą plagą społeczną likwidowanie restauracji (np. przy ul. Górnośląskiej), moim zdaniem, tej sprawy nie załatwi: pijacy znajdują sobie bowiem inne, mniej kontrolowane miejsca spotkań. W każdym bądź razie powołanie do życia klubu-kawiarni dla młodzieży jest samo w sobie pomysłem świetnym.

Bardzo minorowo nasraja zwłoka z oddaniem do użytku Domu Kultury: przed laty ilekroć pisałem o sprawach kulturalnych Kalisza tyle razy musiałem zahaczyć o MDK, a przecież już kilku kierowników Wydziału Kultury się zmieniło! I nic... finalizacja budowy Domu Kultury jeszcze ciągle jest na tapecie. Są trudności związane z realizacją samego projektu (pieczęć w sali widowiskowej), a także funduszami na ten cel. O ile by jednak SFOS przyszedł z pomocą, można by wreszcie powiedzieć: mamy w Kaliszu Dom Kultury.

Należałoby życzyć kaliskiemu środowisku dalszych pożytecznych inicjatyw, również w dziedzinie tzw. małej kultury, odnoszących się do dnia powszedniego.

Czesław Michniak

Kaliskie inicjatywy kulturalne

Józef Pieprzyk

Przeciw schroniskom pustych ioteli

Kluby wchodzą w modę. Już sama nazwa klub przynosi na myśl ciepły, przytulny lokal, wygodne fotele, telewizor, dyskusję, do której można dorzucić swoje trzy grosze, ciekawe odczyty itd. To tylko jednozdaniowy szkic wyidealizowany (nie wszędzie tak jest!) placówki, która nawet ze swoimi realnymi brakami tak się ma do świetlicy, jak skromna sala do nowoczesnie wyposażonego salonu. Kluby mamy: w Wolsztynie w Pile, w Kępnie, w Kole, w Kaliszu (2 przyzakładowe), w Środzie (aż trzy), w Gnieźnie, w Ostrowie i w kilku innych miastach. Razem ponad dwadzieścia, a liczba ta na pewno wzrośnie w najbliższym czasie.

Przy organizowaniu tego rodzaju placówek nasuwa się pytanie, czy nie popełnia się tych samych błędów, jakich byliśmy świadkami w okresie powstawania świetlic? Myślę o liczbie klubów w jednym mieście, o tym by odpowiadały one potrzebom środowiska, możliwościom lokalowym i finansowym, programowym i rozwojowym. Bez uwzględnienia tych pięciu spraw każdy klub wcześniej czy później może się zamienić w chroniczną brydżarnię, w ochłajbudę lub w schronisko pustych ioteli.

Trudno zgodzić się z poglądem, że każdy ambitniejszy i większy zakład pracy winien szczycić się wspa-

niale urządzonym klubem. Po pierwsze — brak tam klimatu odpoczynku, po drugie — pracownicy mają różne kregi przyjaźni i zainteresowań i chętnie w tych kregach spędzają wolne godziny, po trzecie — do zakładu pracy bywa daleko (daleko także w przenośni, szczególnie po godzinach pracy).

Nie rokują też dłuższego życia kluby zainteresowań, z wyjątkiem fachowych (np. NOT, SARP), które stanowią przede wszystkim o-

Dyskusja o kulturze w powiecie

środku pogłębiania i uzupełniania wiedzy zawodowej. Odnosi się to raczej do dużych skupisk miejskich i ośrodków przemysłowych, licznej kadry technicznej itp. W innych wypadkach będzie to realizowanie hasła: mierz siły na zamiary, gdy i sił mało i zamiary nie na długi okres. Taka placówka powołana dużym nakładem pracy i pieniędzy wnet znaleźć się może bez ludzi i środków do życia.

Potrzebom naszych miast najbardziej odpowiadają kluby środowiskowe. Dla takich klubów łatwiej znaleźć lokal, wyposażyć go, dać mu kierownika z prawdziwego zda-

nia, dobrać aktyw, który ma naprawdę coś do powiedzenia, wprowadzić różnorodność form pracy k-o, wprowadzić szerszy zakres tematyki, nawiązać współpracę z ośrodkami myśli postępowej, zapraszać z odczytami twórców, naukowców, działaczy.

Ze tylko mocny klub na to może się zdobyć, świadczy na przykład program klubu przy Domu Kultury w Pile. W ciągu lutego pilanie spotkań się tam z literatem Przemysławem Bystryckim, red. Stanisławem Strugarkiem, znawcą literatury i teatru Wojciechem Natansonem, popularną pisarką Magdaleną Samowianiec, red. Januszem Markiewiczem, prawnikiem Alfredem Pawlickim, mgr. Niną Antkowiakową (cykl: Estetyka życia codziennego — prelekcja: Przyjmujemy gości), mgr. Zbigniewem Szumowskim (problem niemiecki), mgr. Stefanią Porbadnik (prel.: Styl romański), z literatem Eugeniuszem Wachowiakiem (Współczesna poezja niemiecka). Podobnie bogaty jest program klubu przy średzkim PDK. Na zaproszenie tylu osób mających coś do powiedzenia nie zdobędzie się żaden klub o mniejszym zasięgu oddziaływania.

Klub środowiskowy (Domu Kultury, ZMS, ZMW, Międzyspółdzielczy itp.) — to już nie tylko sprawa

Dokończenie na str. 4

Rozmyślenia o literaturze

Mamy niejednego znakomitego krytyka, a mimo to nie mamy syntetycznych omówień naszej współczesnej literatury. Mamy wielu znających się na rzeczy recenzentów, a mimo to nie potrafimy się zorientować w bieżącej produkcji książkowej polskich wydawnictw. Paradoks? Niewątpliwie, ale czym spowodowany?

Pytanie to powraca ostatnio coraz natrętniej przy różnych okazjach, stawiają je sobie różni redaktorzy i sami krytycy. „Współczesność” rozpisła ankietę, „Życie Literackie” i „Przegląd Kulturalny” zorganizowały specjalnie kwestiom krytycznym poświęcone dyskusje.

A mimo to jesteśmy dalecy od udzielenia zadowalającej odpowiedzi. Nadal ukazują się w pismach doraźne felietony o pojedynczych książkach poszczególnych pisarzy. Najczęściej okazują pogardę dla rzekomej swojszczyzny tych pisarzy i niewybaczalne nuty wyniosłości wyszechłej krytyki.

Nadal spotyka się wystąpienia o dziwnie niefrasobliwej skali pretensji i zarzutów, nie przebiegające w słowach, i nie liczące się z faktycznym stanem polskiej literatury dzisiejszej. Już dawno zgubił się w tym polski pisarz, i polski czytelnik. Z zarzutami spotyka się bowiem zarówno uleganie obcym wzorom literackim, jak i brak uległości.

Dowód tej rozbieżności ocen dał w ostatnim „Przeglądzie Kulturalnym” Andrzej Kijowski, zagajając dyskusję na temat „Polskiej prozy i krytyki”. Ale poza tym daje on dowody tego samego zagubienia w swoich felietonach. Wy-

tworzywszy sobie w wyobraźni własny model literatury, okazuje swoje zniecierpliwienie przy każdej próbie lektury nowych książek pisarzy polskich.

Wytknął to Kijowskiemu we wspólnie, pełnej uniesienia lirycznego repliki Wilhelm Mach. Nieporozumienia pisarza i krytyka wynikają w tym wypadku stąd, że krytyk mówi o tym, co mu się w duszy śni, a pisarz o tym, co widzi na jawie. Jeden, nie zważając na stan aktualny literatury, pragnie czegoś więcej, drugi, uwzględniając stan obecny literatury polskiej i obcej, uważa, iż nie ma powodu do rozdzie-

Feliks Fornalczyk

Podwórko własne i cudze

rania szaf i do utrzymywania kompleksu niższości wobec innych literatur.

I jeden i drugi mają w końcu swoją rację. Rozbieżności te sprawia bowiem fakt, że krytyk — konkretnie Kijowski — reprezentuje stanowisko destruktora, nie zadawającego się stanem istniejącym i stawiającego wyższe wymagania. Pisarz — w tym wypadku Mach — reprezentuje postawę twórcy i miłośnika literatury.

Pogodzenia tych postaw trudno sobie wyobrazić. Trudno też sobie wyobrazić idealną równowagę pomiędzy reprezentantami tych dwu poglądów. Zawsze bowiem bywało w dziejach tak, że raz przewagę w krytyce artystycznej mieli zwolennicy romansu z dziełami sztuki, a raz wielcy destruktorzy, zaprzecz-

ający zasłanym wartościom i pobudzający intelektualnie do szukania nowych rozwiązań artystycznych.

Pod ukazaniami się mojego zbioru szkiców krytycznych „Znaki życia” otrzymałem od Kazimierza Wyki list, w którym zawiera się między innymi taka opinia:

„Dopiero na podstawie zbioru dostrzegam, jak konsekwentna i dobra robotę Pan wykonywał. Pewnie, że w wielu przypadkach kryteria stosowane do pisarzy ziem zachodnich nie wytrzymały poziomu ogólnopolskiego i Pan temu chęć nie chęć ulega. Jestem wszakże liberałem, starym liberałem. Literatura istnieje na wielu poziomach, na wielu piętrach, zwłaszcza w kraju tak dalece wciąż się formującym, w społeczeństwie tak dalece wciąż się kształtującym jak nasze. Powtarzam, że przy takim założeniu robi Pan dobrą robotę. Ale następny etap — to wymagać, podjąć, ontologicznie bowiem biorąc Homer ma to samo prawo i obowiązek pokazać się w Zielonej Górze, co siedmiu miastach greckich”.

Andrzej Kijowski, jeden z uczniów Kazimierza Wyki, wziął sobie nauki profesora znacznie bardziej do serca i konsekwentnie je realizuje. Choć często się z nim nie zgadzam, rozumiem przydatność również i jego roboty. Siedząc bowiem od lat na prowincji widzę wyraźniej, ile jeszcze do zrobienia ma krytyka w odniesieniu do literatury polskiej, krajowej, w dziedzinie nawet najwyznaczniejszego czytania, wymierzania zasług i pomyłek, definiowania jej charakteru.

Tyle ona przełknęła bezceremonialnych cenzur i gorzkich przemilczeń po wojnie, tyle nabawiła się kompleksów, że za najważniejsze zadanie — mimo zachęty Kazimierza Wyki — uznaje jeszcze na parę najbliższych lat stwarzanie w niej poczucia własnej wartości, i własnych możliwości. W tym przekonaniu bliższy więc jestem odczuciu Wilhelma Macha, Kazimierza Brandysa i Jarosława Iwaszkiewicza, sformułowanym w ostatnim numerze „Przeglądu Kulturalnego”, niż pretenstom Andrzeja Kijowskiego.

Pamiętajmy jednak, że krytyk też człowiek. Ma więc również prawo do słowności, do pomyłki i — odrobiny próżności. W tym zakresie odwołam się do własnego doświadczenia. Moja książka, „Znak życia”, została na przykład bardzo uważnie i wyczerpująco omówiona w prasie i radio Szczecina i Koszalina, nie doczekała się natomiast nawet recenzentkiej wzmianki w prasie poznańskiej. Jedni — zdaje się — nie uznają jej, ponieważ nie została wymieniona, inni czują się skłopotowani, ponieważ jest o nich mowa w książce.

„Znaki życia”, będące pierwszą próbą krytycznego spojrzenia na literaturę tworzoną w Szczecinie, Poznaniu, Bydgoszczy, Gdańsku, Zielonej Górze i Koszalinie, sprzedają się więc same. Autor może mieć tę satysfakcję, że i bez tego jego książka znika z księgarni. A może nawet już zniknęła? Tyle że ten temat podejmuje się zawsze z niechęcią i zażenowaniem.

Kazimierza Kutza znamy z bardzo udanego debiutu pt. „Krzyż Walecznych”, a później z szeroko dyskutowanego „Nikt nie woła” i odznaczonych drugą nagrodą na festiwalu w Locarno „Ludzi z pociągów”. W filmach tych Kutz dał się poznać jako reżyser utalentowany i urozumiący. Zdanie to potwierdza również jego ostatni film „Tarpany”.

Zakres tematyki, podjętej przez Kutza w „Tarpanach”, określał najlepiej jego własne słowa: „Chciałem stworzyć opowieść o potrzebie namietności, jaką każdy człowiek powinien mieć w życiu i o pasji, z jaką winien dążyć do jej zrealizowania. Uważam, że pasje ludzkie — nawet na pozór dziwne — są na pewno pożyteczne społecznie...”

A więc problematyka, przebiegająca często i od dawna w literaturze, ale jednocześnie pozostająca w bezpośrednim styku z naszą współczesnością, problematyka jak najbardziej aktualna, podkreślona dodatkowo czasem

akcji (rok 1961) oraz wyobraźni środowiska.

Otóż wśród mazurskich jezior, na tak zwanej głębokiej prowincji, mieszka kierownik doświadczalnego ośrodka, którego jedyną życiową pasją jest jego praca: próby „dziczania” tarpanów. Pracy tej poświęca wszystko nie zważając na niepowodzenia, i nie potrafi z niej zrezygnować nawet w obliczu osobistego konfliktu, jakim jest zupełna obojętność żony wobec jego pracy, kobiety, nie umiejacej wyrzec się uroków innego życia, marzącej o wyrywaniu się z tej guszy. A więc konflikt także jak najbardziej charakterystyczny dla naszej współczesności, konflikt numer jeden dla wielu lekarzy, inżynierów, naukowców, mieszkających z dala od ośrodków cywilizacji.

Trzeba przyznać, że Kutz

nie upraszcza swych bohaterów: żona kierownika ośrodka nie jest zwykłą sobie mieszczką o ptasim mózgu; to po prostu nudząca się, myśląca tylko o sobie kobieta, a co najważniejsze — nie umiejacej pogodzić się z upływającą młodością. Konflikt tej pary uwidacznia i podkreśla

FILM

kreślą niejako sylwetki dwojga młodych: praktykantki Basi i Jędrka, który z plecakami wędruje przez Mazury. Stylizacja filmu jest nader interesująca; otóż Kutz traktuje swych bohaterów z leciutkim dystansem, przyznając każdemu jego rację, unikając moralizowania, rezygnując czasem z dosłowności a nawet z prawdopodobie-

stwa szczegółów. Mówiąc inaczej — Kutz podpatruje swych bohaterów jakby od wewnątrz, konstruując przede wszystkim studium psychologiczne, i dopiero poprzez nie formułuje swe obserwacje środowiskowo-obyczajowe. Jeżeli sięgnąć do porównania, to jego stylizacja jest niejako odwróceniem metody neorealistów włoskich. Stąd też jednowymiarowe, niemal groteskowe potraktowanie dalszoplanowych postaci (na przykład przedstawicieli zażądki PZGS czy miejscowy zalotnik), stąd tak szerokie rozbudowanie sceny nieudanej uroczystości z okazji rocznicy ślubu kierownika ośrodka.

Formuła ciekawa, ale jednocześnie niezwykle trudna dla wyrażenia jej w filmowym języku, języku obrazu. Dlatego całość sprawia, nie-

Janusz Biniek

TARPANY

Przemysław Bystrzycki

Od melonika do „tartanu”

Podczas mojego tegorocznego pobytu w Anglii, strzeliła mi do głowy myśl, by do Polski wrócić w meloniku, z fajką w zębach i przy parasolu. Projektowi stanął na przeszkodzie nie tylko brak pieniędzy, ale i fakt, iż do zabawy, podobnie jak do rozmowy, potrzeba przynajmniej dwóch albo dwoje. Przeraziłbym na pewno celników, uradowałbym osobistych wrogów. Już słyszę ten pisk: „Nie mówiliśmy, że Bystrzycki to stary przyjaciel Albionu, patrzcie jak wygląda!”. Do melonika, parasola i fajki nawiązałbym jednak, aby się pobać cudzym zdziwieniem.

Opisany strój jest przybraniem gło- wy męskiej połowy londyńskiej City. Robi wrażenie cmentarno-karawaniarskie, lecz do wszystkiego można przywyknąć, nawet do familijnych pogrzebów. Chodzą owi urzędnicy w garniturach koloru „marengo”, w trzewikach o przydeptanych szpicach. Nie jest to oczywista, ubiór nakazany, żaden

przepis nie ma tu nic do roboty. Wy- starczy, że tak stanowi zwyczaj. Zwyczaj tam jest mocniejszy od prawa. Anglicy do dziś nie mają pi- sanej konstytucji w sensie jednego aktu prawnego.

Razu pewnego sam zwątpiłem w realność XX wieku. Przed oczami stanął Dickens z galerią swoich postaci. W tym samym wa- gonie kolejki podziemnej siedział facet w cylindrze, sztuczkowych spodniach, beżowej kamizelce, fra- ku czarnym jak smoła i w krawacie z olbrzymią perłą. Sobota, pełnia holiday'u. Prawdopodobnie jechał

biała torba z koziej skóry. Na oso- biste drobniaki. Po lewej róg, ongi dla zwolnienia pobratymców, na polu bitwy, dziś na whisky. Bliży bywają różne, zależnie od okolicz- ności. Na lewym ramieniu pled — „tartan”, długi, fałdysty.

Obecnie występują tak z okazji uroczystości. W armii podczas woj- ny, od roku 1940, był to strój galo- wy wyłącznie dla szkockich ofic- rów. Szeregowi w tym czasie prze- stali go nosić, bo niepraktyczny. Ale wojskowa orkiestra kroku beżeń nie zrobiła. Podczas pierwszej ofensy- wy alianatów w północnej Afryce, synowie górskiej, zamglonej krainy szli do szturmu na Wiochów kro- kiem wolnym, paradnym, pod takt orkiestry kobziarzy. To były regi- menty Highlandów przed zdjęciem spódnic. Wiadomo — strojem bitwy się nie wygrywa. Ale front przeła- mali.

Miło więc „angielską miłą przeje- chać się czasem”. Wraca się do do- mu zdumiony, wita znajomych i o- powiada przygody. Wtedy wracają też na myśl angielskie bary, szkocka „whisky”, „tartan”. Bardzo tylko nie pragnę, aby wróciła ich kuchnia. Dziwna, niesmaczna, zdecydowa- nie niedobra.

Kartki z wyspy(I)

na ślub, może na pogrzeb. Podróżni ani zerknęli. Swoboda ubioru i za- chowania, obok wielkostołowego obycia z ekstrawagancjami, jest tam szeroka, byle nie obrażała elemen- tarnej obyczajności.

Anglik lubi zaznaczać wyróżniają- cą go cechę. Nie wypływa to z chęci imponowania, jest wyrazem przy- należności. Ktoś do czegoś musi przecież należeć. Kluby golfowe, których bez liku, posiadają emble- mat noszony przez członków na gra- natowych najczęściej marynarkach z błyszczącymi guzikami. Dotyczy to stowarzyszeń kreglarskich, orga- nizacji szkolnych, raczej: już po- szkolnych. I tak byli oksfordczycy chwalą się sinymi krawatami w bu- raczkowe pasy (jeśli dobrze zapam- iętałem), inaczej Cambridge, inaczej Eaton-school. Byli spadochro- niarze noszą krwiste krawaty z wy- sztytymi miniaturkami gapy; zresztą dawni wojskowi to szeroka historia. Emerytowanego oficera znawca roz- pozna po sposobie przycięcia wąsa. Rozróżni rodzaj broni, wskaże dy- wizję, a może i pułk. Zarost pod no- sem, hodowany powszechnie, uła- twia taką identyfikację.

Najbardziej wszak zdumiewa szkocki strój. Niepodległy wieko- wym zmianom, jak krajobraz High- landów.

Wpierw barwa i rodzaj kraty. Każdy klan szkocki — a jest ich około 90 — ma inną. Bez przewo- dnika trudno się w tym połapać. Bo Campbell, bo Mac Kay'e, Macmil- lany, Mac Donaldy, Mac Ferlany — ktoś ich wszystkich zliczy. Obok kraty posiadają te rody, dawnością sięgające XIII—XIV wieku, i herby z sentencją wypisaną na tarczy her- bowej. Dawniej prowadzili między sobą wojny, urozmaicane rzeżami bez miłosierdzia. Dzisiaj wrogość wygasa — zostały klany i „tartany”.

A więc spódnica („kilt”). Zwyczaj nakazuje, aby pod nią nie nosić bie- lizny. W szkockim pułku, chyba Blackwatchów, przed wyjściem z koszar, olbrzymi, wyświecony ka- mieniem stwierdzał stosowność stroju. Żołnierz stawał w rozkroku, służbo- wy patrzył w to „lustro”, kiwał ręką: przechodzi!

Spódnica jest obfita, gufrowana, ciepła. Do kolan sięgają skarpety z wetkniętym nożem. Na biodrach no- szą tzw. „sporrán” — czarna lub

Przeciw schroniskom pustych foteli

(Dokończenie ze str. 3)

władz miejskich czy powiatowych, ale zakładów pracy, instytucji, orga- nizacji, które wspólnie winny za- bezpieczyć finanse, uzupełniać braki w urządzeniach. W oparciu o tę bazę może on nie tylko na bieżąco stosować różne formy i różną tematy- kę, ale także stać go na szukanie i stoczenie coraz to innych po- mysłów. Jest to nieodzowne. Nowo- czesnego człowieka na wiele do- tychczasowych bodźców kulturalno- artystycznych „uodporniły”: radio; telewizja, teatr objazdowy, kino, ilustrowane tygodniki i tysiąc in- nych czynników; jest on do pew- nego stopnia nieczuły, bardziej wy- bredny. Jednym słowem trudniej go wzruszyć, zaangażować, uaktyw- nić. Szybciej się zniecheca, szuka czegoś nowego, ciekawszego, niety- powego, a równocześnie nie chce być samotnym w psychologicznym tego słowa znaczeniu.

O tym trzeba pamiętać przy za- kładaniu klubów. Nie mnożmy ich za dużo w jednym mieście. Swego czasu „szliśmy” na liczbę świetlic; prawda, że załatwialiśmy tańcem, za- śpiewały, pokazywały jedno i drugie przedstawienie, a potem popadły w stan letargu z braku sił, niewiele im pomógł różnego rodzaju za- strzyki i „dożywiania”.

JÓZEF PIEPRZYK

Eugeniusz Pauksza

Wczoraj i dzisiaj

Z bogatego wyboru literatury wspomnieniowej zajmę się dziś kilku pozycjami częś- czo tylko pokrewnymi so- bie tematycznie; a wspólnym mianownikiem będzie tylko ich bezpośrednie związanie z niedaw- no minionymi czasami. Z niedaw- no minionymi? Powstaje pytanie, jakimi granicami czasowymi mie- rzyć teraźniejszość? Bo w końcu większa część książek, które sy- gnalizuję, bardzo ściśle wiąże się przecież także ze współczesno- ścią.

Wysunąć chciałbym na czoło książkę, która z wielu powodów dopiero dziś, niestety, już po śmierci autora, ukazuje się z dru- ku nakładem „Czytelnika”. Są to „WSPOMNIENIA WARMIAKA” Jana Baczewskiego, czołowej po- staci ruchu polskiego w Niem- czech w okresie 20-lecia, War- miaka z urodzenia, głównego orga- nizatorka szkolnictwa polskie- go w Niemczech, posta polskiego do sejmu pruskiego po rok 1928. Wspomnienia jego, pisane z pa- sją, z cechującą go zadziornością, obrazują spory wycinek dziejów polskości pod niemieckim ucis- kiem, zwłaszcza na terenie dzi- siejszych ziem za- chodnich. Bogata dokumentacja, sze- reg nieznanych do- tychczas szczegó- łów, sama aura tych walek, to pasjonująca i wiele ucząca lektura.

Wojna przekreśliła możliwości działania Baczewskiego, został osadzony w obozie koncentracyj- nym. Wojna zdawała się nieść kompletną zagładę wszystkiemu, co nie na rękę Niemcom. Pierw- szą radością wieścią o zahamowa- niu hitlerowskiego parcia na Wschód stała się epopeja stalin- gradzka, już od początków swych legendarna. I dlatego cieszyć się trzeba, że MON opublikował pa- miętniki marszałka Wasilija Czuj- kowa już tytułem określające zwrotny charakter stalingradzkie- go zwycięstwa dla losów wojny. „Początek drogi”, to lektura bar- dzo sugestywna, uciągająca nie tylko samym obrazem ciężkich dni, gdzie co krok trzeba było podejmować rozstrzygające decy- zje, ale również i niezwykłą bar- wą, sugestywnością opisu, zgola literackiego. Autor ukazuje także i nieznane dotychczas strony tej kampanii, porusza sprawy dra- żliwe, przedstawiając je z umi- łą szczerością. Jeden z najcie- kawszych pamiętników dowód- ców wojennych, jakie mi się zda- rzyło czytać.

A teraz pamiętnik okupacyjny, będący zgola już rewelacją. To „WEHRMACHTGEFOLGE” Józefa Makowskiego, wydanie „Czytelnika”. Autor, polski Żyd, znalazł schronienie u... hitlerow- skim mundurze. To ułatwia mu przy pomocy sfalszowanych doku- mentów nie tylko przetrwanie, ale i podróże po niejednym kraju okupowanej Europy. Gdy doda- my do tej pasjonującej fabuły ka- pitałną narrację, świetne wyczu-

cie materiału, przedni dowcip, styl potoczny, ostrość obserwa- cji, nie zdziwi stwierdzenie, że lektura to pasjonująca jak rzad- ko, a przy tym pełna niefałszo- wanych emocji.

Z kolei seria pamiętników — już nie wojennych i nie okupacyj- nych, związanych ze sprawami oświaty i kultury. Najdalej w przeszłość sięga LEONARD SO- WINSKI, dramatopisarz i poeta późnego romantyzmu, związany blisko wychowaniem i uczeniem z ziemiami ukraińskimi w głoszonych „WSPOMNIENIACH SZKOLNYCH I UNIWEKSYTEC KICH” (wyoor i opracowanie Ro- mana Taborskiego, wydanie „Czy- telnika”) aając żywy i barwny obraz życia polskiego na Ukra- iunie w potowie XIX wieku. Sro- dowiska szlachty, pierwsze nau- ki, Zygmierz ze swym gimna- zjum, Kijów z uniwersyteciem, oio etapy życia a z kolei i wspo- mnien Sowińskiego. Wspomnie- nia szkolne, już jednak nie od strony tawy szkolnej, ale profes- sorskiej gimnazjalnej kucery, okiem urodzonego, szlacheznego pedagoga ukazują jawawo Zano- wa w wyuagani przez „USSOLI- NEUM” iome „W- stuzie oswiaty” oejmującym tawa oa 1900 az po rok 1946. Tem jest Warszawa, miejsce

pracy autorki wspomnień, ale problematyka znacznie szersza, próbuje ująć całokształt spraw szkolnictwa srealnego. Czytelnika nieścynanie ujmuje gorące przy- wżanie autorki do tysięcy swych wychowanków, pamięć o nich, kon- takty utrzymywane po dziś. Po- leciłbym ten tom szczególnie go- rąco młodej kadrze nauczyciel- skiej, nie tylko mogłoby się stam- tąd wiele dowiedzieć, ale i wiele nauczyć.

PIW z pietyzmem wydał tom wspomnień zmarłego po roku temu seniora dziennikarzysty war- szawskiego, Kazimierza Polacka „ZE WSPOMNIENI STAREGO DZIENNIKARZA WARSZAW- SKIEGO”. W błyskotliwej for- mie, wśród tysiąca szczegółów, anegdot i faktów widzimy świat prasy warszawskiej z końca ubie- głego stulecia i pierwszych kil- kunastu lat wieku dwudziestego. Autor to urodzony gawędziarz, nie pozbawiony humoru i uszczy- pliwości, toteż światek dzienni- karski jawi się w całej barwie. Polecam nie tylko dla dziennika- rzy. Pyszna lektura.

I jeszcze jeden na dziś „rary- tas” Arnold Szyjman, którego wspomnienia okupacyjne oma- wiałem niedawno, wydał obecnie nakładem Wydawnictw Artystycz- nych i Filmowych tom pt. „55 LAT W TEATRZE”. Wybór to artykułów i szkiców pisanych przez autora w różnych okresach życia, w sumie jakby namiastka dopiero przygotowanych pamięt- ników. Arnolda Szyjmana zre- szta nie trzeba polecać, wystar- czy go czytać, jeśli tylko pasjo- nujemy się choć trochę teatrem.

związki zawodowe nie bardzo tym kształcącym pomagają, jeżeli wręcz nie traktują ich jako zło konieczne.

Pamiętnik znaleziony w Oświęcimiu

Była więziarka Oświęcimia — Maria Elżbieta Jezierska opisuje na łamach Nowej Kultury ge- henne ludzi w obozie koncentracyjnym i dzieje powojennych poszukiwań dokumentów zbrodni, ukrytych na terenie obozu przez więźniów. Po- szukiwania trwały aż do 1961 roku. I wreszcie: znaleziono puszkę ze zwojem brunatnych pa- pierów.

Jeszcze jeden dokument, jeszcze jedno oskar- żenie skierowane przeciwko tym, którzy doko- nali bezprzekładnej w dziejach ludzkości zbrodni ludobójstwa.

Dyskusja o pyskówkach

Wielki problem małych spraw tak zatytuło- wano w Prawie i Życiu dyskusję na temat tzw. pyskówek. Wzięli w niej udział sędziowie, pro- kurator, adwokat i z ramienia redakcji — Wanda Falkowska. A oto wnioski: spraw prywatno-skar- gowych nie należy traktować lekceważąco, trzeba dążyć do rozszerzenia postępowania po- jednawczego, powierzając je szerzej niż dotąd prawnikom, Sąd Najwyższy winien wyjaśnić kry- teria, jakimi należy się kierować przy pojmo- waniu znikomego społecznego niebezpieczeństwa czynu.

Warto tu jeszcze dodać, że problem małych spraw nie zostanie rozwiązany dopóty, dopóki nie wzrośnie kultura społeczeństwa, dopóki za- sady współżycia społecznego — tak wyczerpu- jąco sformułowane w ustawach, — nie staną się normami przestrzeganyimi powszechnie przez społeczeństwo.

LEKTOR

Studium



Linoryt Zbigniewa Kaji



Polska żegna Broniewskiego

Odszedł od nas Poeta, którego słowo stało się pieśnią, hasłem, okrzykiem ostatniego poko- lenia rewolucyjnego — pisze **Przegląd Kulta- ralny**. Odszedł jeden z największych poetów, jakich mieliśmy współcześnie, autor dzieła, w którym przejrzały się dzieje polskie, ich dra- maty, zasadzki i nadzieje — pisze **Nowa Kulta- ra**. Nie był legenda, był żywym człowiekiem, przyjacielem uważnym i szczerym — pisze o Zmarłym **Wiktor Woroszyński** na łamach **Polityki**. Piszą też o Nim w tym samym tygodniku **Antoni Słonimski**, **Wanda Wiłkomirska**, **Sławomir Wygodzki**, **Irena Krzywicka**. W **Kierunkach** — piśmie społeczno kulturalnym katolików czyta- my wspomnienie **Andrzeja Piotrowskiego**:

„Odszedł wielki twórca, który patronował nie- jednemu z młodych i najmłodszych pisarzy, któ- ry... był i trybunem, i trubadurem, odszedł mój i nasz Władysław Broniewski, odszedł — użyjemy tu... słów Juliana Tuwima — poeta wyso- kiej miłości”.

Cień Ratusza

To tytuł reportażu **Tadeusza Kołodziejczyka**. Autor pokazuje na łamach **Polityki** przebieg kariery przewodniczącej Prezydium MRN w Wieluniu (woj. łódzkie) **Wiesławy Nowak**. Przy-

kład to nie typowy i — powiedzmy od razu — patologiczny. 31 stycznia 1961 r. na sesji koń- czącej się kadencji członkowie MRN uchwali- li podziękowanie dla W. Nowak „za trud i pracę włożoną w lepsze zaspikanie potrzeb miesz- kańców miasta”. A 6 grudnia tego samego roku Sąd Wojewódzki w Łodzi na sesji wyjazdowej w Wieluniu skazał **Wiesławę Nowak** na 5 lat więzienia i 10 tys. zł grzywny. Jak to się stało? Zaczęło się od plotek krążących po mieście, że „jak dać przewodniczącą w łapę to będzie mieszkanie”, ale konkretnych faktów nie było. Z radnymi MRN przewodnicząca robiła co jej się żywnie podobało.

„Był co prawda jeden radny, który przez całą kadencję przeciwstawiał się przewodniczącej, za- dał omawiania spraw mieszkaniowych, rocznych sprawozdań z działalności Prezydium, regularnych sesji, kontaktów ze społeczeństwem. Ale trakto- wano go jak parszywą owcę”.

Początkowo nie było żadnego nadzoru ze strony Prezydium PRN. Dopiero 1960 roku wy- sunęło ono sugestie w sprawie odwołania No- wakowej z burmistrzowskiego stanowiska, lecz przeciwstawił się temu w imieniu Komitetu Po- wiątkowego PZPR, II sekretarz Owczarek. Kilka miesięcy później Prezydium PRN przeprowa- dziło szczegółową kontrolę pracy Prezydium MRN i stwierdziło, że sesje zwolnione są jednoosobowo, radni nie spotykają się z wybor- cami, komisje nie kontrolują wykonania uchwał MRN, skargi i zażalenia nie są omawiane na Prezydium, uchwały Prezydium nie mają właści- wego uzasadnienia prawnego. Postanowiono Nowakową zwolnić. Sprowadziła ona jednak z Łodzi specjalną komisję KW PZPR i Prezy- dium WRN, która stwierdziła, że odwołanie No- wakowej ze stanowiska byłoby niesłuszne, bo „jest jedyną kobietą sprawującą tę funkcję w

województwie”. Dopiero dwa miesiące później przewodniczący prezydium WRN w Łodzi zasugerował zwolnienie Nowakowej, ale nie uczy- niono tego, gdyż Nowakowa była w ciąży.

„Urzędowała nadal przyznając jednoosobowe mieszkania i umarzając zaległości w należno- ściach na rzecz Skarbu Państwa”.

Miała znów kandydować w wyborach, lecz przeciwstawiła się opinii sekretarza KP w drobnej sprawie i nie umieszczono jej na listach kan- dydatów. Trzy miesiące potem została aresztowa- na.

I i II sekretarza KP odwołano ze stanowisk. Wieluńska organizacja partyjna została oczy- szczona.

Nie oczyściła się sama, lecz została oczyszczona. Oto do czego może doprowadzić brak kolegiatności i niełiczenie się z opinią publiczną.

Minister — o studiach zaocznych

Polityka publikuje rozmowę z ministrem szkol- nictwa wyższego **Henrykiem Gołańskim**. Temat: studia zaoczne, które mają przed sobą duże perspektywy rozwojowe, podobnie jak w ZSRR, NRD, CSRS, a z krajów kapitalistycznych — we Francji. Obecnie w Polsce 30 proc. studiujących pracuje zawodowo. Z wywiadu wynika, że przy- gotowuje się projekt nowej ustawy, zobowiązu- jącej pracodawców i związków zawodowe do po- magania studiującym zaocznie, ale:

„Najdoskonalsze nawet przepisy nie zmienia- ją atmosfery niechęci do tych, którzy chcą za cenę dużych poświęceń zdobyć wiedzę i dyplom”.

Problem to bardzo ważny: od święta mówi się bowiem, że Polska jest krajem kształcącym się ludzi, a na codzień, ani zakłady pracy, ani